

JZEF LASOŃ.

## KYRIE ELEJSON...

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Kyrie elejson...

Nad polską, granatami zoraną ziemią — zmiłuj się Panie!

Nad wygnańcami ze spalonych sadyb, nad oszalałą rzeszą tułaczy gnanych na Sybir, zmiłuj się Panie!

Pożółkłe kłaniają się łany zbóż, wichrem kołysane, szumią, ciężarne kłosy zwieszają ku ziemi. Opadły czerwone płatki strojnych maków, bławaty niebieskie poznikały wśród zbóż. Kąkol czasami się jeszcze gdzieś ukazuje, lecz i on wypłowiałym świeci kolorem, słońce spaliło mu kolor świeży.

Troskliwą dłońią pracowitego rolnika zasadzone ziarna dojrzały na plon — czekają zniw...

Chmara wpadła żołdactwa, zdeptała szumiące kłosy, ogień niszczący niosąc ze sobą...

Moskiewską dłońią podpalone, płoną lasy, wsie, plony niezebranych zbóż, dobytek ludzki...

Kyrie elejson...

Ociemniały, siwy chłop pozostał w chacie, wnuczęta dwoje przytuliło się trwożliwie do kolan starca.

Sami we wsi — przez którą żołdactwo moskiewskie przewaliło się, rabując dobytek, pędząc ludność przed sobą, w śnieżne kraje Syberyi.

Stary chłop ociemniały pozostał. Nie dojrzało ich rozwścieklone oko żołnierskie, nie popędzili w dal.

Wpadła wprawdzie stara kuma, przerażonym głosem jął opowiadać, aby czempredziej uciekać, gdyż żołnierze wieś zapalą.

Stary odparł gniewnie:

— Tę się rodził, tu umierać będę.

Dzieciska rozkrzyczały się, gdy kuma chciała ich prowadzić ze sobą, pozostały przy dziadku.

Nie widział wprawdzie całej zgrozy, jaka we wsi była, lecz słysząc okrzyki trwogi, domyślił się, jaki los wsi zgotowano.

— Boże zmiłuj się — szepnęły zwiędłe wargi — ocalić dzieci pozwól.

Głosy i krzyki we wsi ucichały...

Popędzono ludność, zabrano bydło, zniszczono urządzenia gospodarcze, jasne snopy iskier buchnęły z podpalonych chat, wiatr rozrzucać je począł z chaty na chatę.

Chata starego przy cmentarzu prawie stała, sto doła obok z co tylko zebranych plonem.

Zięć starego, zabrany do armii rosyjskiej, jeśli nie zginął dotychczas, rozkazem pędzony, palił gdzieś wsi polskie, z bólem serca myśląc o chacie, dzieciach, żonie, którą zostawił i o losie, jaki ich czeka...

Nie dotarła tam do niego żalosna wiadomość, że żona, podczas bombardowania wsi, odłamkiem szrapnela raniona, osierociła dzieci.

Stary, ślepy dziadek pozostał — opiekunem.

Wicher szybko przenosił snopy iskier na słomą pokryte dachy domów, coraz większa łuna począł bić ze wsi. Od czasu do czasu, z hukiem zapadł się dom, poczem zgłiszcza dogasać począł.

Strwożone dziatki usiadły u stóp starca, strudzone usnęły. Stary położył ręce na główki lniane, wypłowiałymi żrenicami wpatrywać się począł w czerwono-szary mrok, jaki w izbie zapanował.

Coraz większe ciepło poczęło go ogarniać, duszność, która go dławiała, gryzła piersi. Bał się poruszyć, aby nie zbudzić wnuków, nie przerwać im snu.

Trzask palącego się dachu dał się słyszeć. Stary drgnął, krztusząc się, delikatnie odsunął dzieci od kolan, złożył główki na twardej, ubitej glinianej podłodze. Rękami uderzając w próżnię, dotarł do ścian, macając, szukał drzwi.

Pospiesznie cofnął dłonie, poparzone od płomieni, cofnął się na środek izby.

Duszność poczęła go dławić.

Niepewnym krokiem postąpił naprzód, potknął się, stracił równowagę i runął na ziemię, przygniatając ciężarem ciała spiące na podłodze dzieci.

Przebudzone, przeraźliwie poczęły krzyczeć, kaszląc od dławiającego dymu.

Stary powstał szybko, pochwycił płaczące dziatki na ręce, zmierzając ku drzwiom.

Kosmyki ognia okrzyły szarą sukmanę, przytuliły się, wżarły, wdzierając się do ciała. Trzymając dzieci na rękach, niepewnym krokiem przedarł

się przez płonące drzwi — prąd świeżego powietrza orzeźwił go.

Łachmany starca rozdziły się w płomień, wybuchły. Zbierając ostatek sił, pobiegł parę kroków, dzieci wysunęły mu się z rąk, przeraźliwie krzycząc.

Stary upadł na zieloną ruń pola i tarzając się w bólach, szeptał:

— Chryste zmiłuj się!...

Kyrie elejson!

Gdy ogień zagasał, dymiły się jeno jeszcze zgłiszczą, wypełzły dwie małe postacie z na pół spalonej chaty.

— Jasiek — wyszeptała pierwsza.

— Zyjesz Kasiu!

— Zyrę! Oj biedna ja sierota, matuś i tatuś umarli.

— Pójdź Kasiu! Pójdziemy!

— A gdzie?

— Przed siebie! Do wsi jakiejś zajdziemy. W chatę się schronimy, dobrzy ludzie jeść dadzą.

— Ach — zamyśliła się — a jeśli i tam spalone, to gdzie pójdziemy?

Chłopak stanął nieruchomo. Jeśli ich wieś poszła z dymem, to pewnikiem i wszędzie, gdzie tylko jest polska ziemia. Niema więc dla nich ratunku, ani przytulenia się do ciepłego ogniska — sieroty są, ojców stracili, chaty i wszędzie tak — rozmyślał Jasiek.

— Wiesz co, Jasiek? Poszukamy w popiele po chatach, będzie gdzieś chleb i inna żywność, musimy tu pozostać!

Machinalnie udał się do spalonej chaty, znalezionym drągiem grzebać począł w popiele i gruzach domu.

Natrafił na miękki jakiś przedmiot, odrzucił drąg, drobnymi rękami odrzucać począł kamienie i rumowiska.

— Jezu — wyszeptały z trwogą dziecięce jego usta — matka leży.

I przypadły sieroty do odgrzebanych zwłok matki, tuląc się do zimnego jej łona, zapłakały nad dolą swą, nad losem matki.

Kyrie elejson...

Chryste zmiłuj się nad sierotami!

Kyrie elejson!

I obchodzi chaty Anioł śmierci, znaczy krzyże na chatach polskich, obfity plon zbierając. Pierwotni dawno już poginęli, niema dziś w całej Polsce domu, rodziny, by pod krzyżem boleści nie stały.

Kyrie elejson!

Nad polskim narodem zmiłuj się Panie!

Wśród szczęku broni, świstu kul, rozszalałych ataków żołnierskich, ze wszystkich stron uderzających, wyrwie się czasem przekleństwo słowo, ostatni jęk konającego, wściekły głos uderzającego bagno — w pierś nieprzyjacielską żołnierza, słowo polskie się wyrwie, przekleństwo czy jęk, wśród gwaru języków Babilonu — bracia okrzykami poznają się, jako wrodzy, jako śmierć sobie wzajem niosący...

Zima...

Biały płaszcz śniegu czarną przykrył glebę, w bagniste torfy wsiąkł, na błotach pińskich spoczął.

Od Karpat, Bessarabii przez polską ziemię przemaszerowały oddziały Legionu, nad błotami pińskimi usadowiły się, okopali.

Nie masz tam ciepłych chat wieśniaczych, ni stodoł z plonami pól, pachnącem sianem, szorstką, sztywną słomą.

Mułem bagnistym oblepiony żołnierz, przez deszcz i śnieg przemoczony, przemarznięty, nie ma gdzie ogrzać ciała, upadające wzmocnić siły.

Nie straszną była dlań pustynia Bessarabii, wiecznie śnieżne szczyty Karpat, moczary i bagna pińskie nie zdołają przełamać ni hartu ducha, ni cierpień ciała.

Przyszło Synom Polski skropić krwią swoją każdą grudę ziemi, aby dostąpić Odkupienia.

Od Karpat, pustynnej Bessarabii, bagnistych jezior, moczar pińskich podnosi się głos:

Kyrie elejson!

trzącą na świat twarzą — to byli dwaj skazańcy — których miano rozstrzelać.

Czarne kędziory otaczały twarz cygana, oczy patrzyły śmiało, głowa do góry podniesiona, świadczyły, że szedł śmiało bez lęku, podczas gdy jego towarzysz, drżąc z przerażenia, nerwowo i chwiejnie kroczył obok niego.

Cygan za zbrodnię rabunku — towarzysz jego za szpiegostwo skazani byli na karę śmierci.

Dotarli wreszcie do miejsca stracenia.

Odczytano im wyrok sądu polowego.

Cygan spokojnie wyjmował papierosa po papierosie, ustawicznie wypuszczając kłęby dymu z ust, z politowaniem patrzył na trzęsącego się ze strachu towarzysza.

Kazano ukłęknać temu drugiemu. Cygan wyciągnął papierosa, wypuszczał kłęby dymu, przypatrując się koledze obojętnie.

Drżąc jak w febrze, mały ukłękął, a raczej pochylał się i upadł do ziemi. Żołnierze przywiązali go do słupka.

Padła komenda, mały drgnął ciałem, głowa obwisła mu na dół.

Cygan znów zapalił papierosa.

Widząc zbliżających się żołnierzy, odrzucił precz papierosa, pewnym krokiem ruszył pod słup — ukląkł spokojnie. — Chcieli mu zawiązać oczy. Poprosił, aby mu nie wiązać, na co komendant zgodził się.

Spokojnie wyciągnął papierosa, pociągnął kilkakrotnie całą piersią dym — w wyczekującej postawie spojrzął na żołnierzy.

Oczami śledził poruszenie się rąk żołnierskich, jak ręce chwyciły za karabin, zmierzyły w jego ciało — wystające lufy karabinów. Nie zadrgał ani jeden nerw na twarzy cygana. Papieros w ustach trzymany kończył się palić.

Nie spuszczać wzroku z żołnierzy, usiłował sięgnąć ręką po świeży papieros... padła komenda, pochylał się, jak podcięty kłos, przewrócił na ziemię.

Ksiądz wojskowy odmówił modlitwę, dwaj lekarze zbadałi rozstrzelanych — szybko w świeżo wykopane groby złożono ciała, zrównano ziemię — egzekucja była skończona.

Tylko świeżo usypane kopce świadczyły o tragedii, która przed chwilą w tem miejscu się rozgrywała.



## SZUMIĄ DRZEWA.

...Rozkołyszcie się zielone gaje, pachnące świerki, wyniosłe topole, płaczące wierzby... Rozszumcie się, oto godzina wyzwolenia idzie...

Zagrajcie pieśń nad pieśniami — pieśń odrodzenia!

Niech będziemy wolni, na świętej, krwią przepojonej ziemi ojców naszych, na ziemi krwią naszych synów, braci i ojców świeżo pokropionej — pra-ojców ziemi naszej — wolnej!

Żali kwiat bez orzeźwiającej rosy kwitnąć i żyć może? Także i my żyć nie możemy, póki swoboda i wolność nie orzeźwi nas...

Pochylcie się wy, zielone gałązki, któreście z gradu kul ocalały — pokłońcie się niestratowane, pożółkłe kłosy zbóż, pieśń nad pieśniami dajcie!

...Żali czas przyszedł, w którym płoną chaty, ludzie giną, zniszczone wszystko jest, co ziemia-matka wydała — co zbudował człek...

Oto z krwi, z dymu, z kurzawy, pośród huku armat, przejmującego grzechotu karabinów, powstaje Odrodzenie.

Piekielnych, potwornych maszyn zagłuszcacie huk, niech serca bojaźliwe — spokój znajdą, a cierpliwe — ukojenie...

Rozszumcie się — pojednajcie poważnione dusze — złączcie się w jedną myśl — w jeden czyn...

Bo nam wszystkim budować trzeba — wszystkim jąc się pracy nad Odrodzeniem...

Rozszumcie się gaje, zapłaczcie świeżą, młodą krwią — tajemnic pełne i zgrozy — ciał poległych straż. Niech szum wasz będzie pieśnią ukojenia...



## DELIKWENCI...

Otoczeni konwojem żołnierzy — ruszyli na miejsce stracenia.

Młody, wysoki, ładnie zbudowany cygan, obok niego niski, przygarbiony chłop, z bojaźliwie pa-